

# Samotnie przez Atlantyk

Nasz autor 50 lat temu dokonał pionierskiej samotnej podróży 5-metrową szalupą ratunkową z Dakaru do Georgetown w Gujanie: 2,8 tys. km w 44 dni. Zamierzał udowodnić, że rozbitek na morzu zawsze ma szansę uratowania się, jeśli wykáže się determinacją, hartem ducha i wolą życia.

JACEK PAŁKIEWICZ

**W**ysoka, szczupła Mulatka w recepcji luksusowego Pegasus Hotel przekazuje mi telefon i książkę telefoniczną, o które poprosiłem. – W czym mogę panu pomóc? – pyta zbliżający się młody mężczyzna w eleganckim garniturze, zdziwiony obecnością zarośniętego, bosego i niezbyt adekwatnie odzianego osobnika. – Chciałbym zadzwonić na

polację – odpowiadam. – Ma pan jakieś problemy? – dopytuje, marszcząc brwi z niepokojem. – Nie, nie chodzi o problemy. Przybywam z Dakaru – mówię, ale Michael Williams, jak się okazało – brytyjski manager hotelu, patrzy na mnie bez reakcji. Uzupełniam, że z Senegalu, ale i tym razem nie reaguje. Dopowiadam, że z Afryki, i dopiero wtedy gentleman drwiąco nasładuje ruchy kogoś płynącego w wodzie. – Nie, proszę pana, tym „okrętem” – wskazuję widoczną przez okno łódkę otoczoną mrowiem ludzi. Mój rozmówca zająkał się: – C-co? Z-z Afryki? Tą łodzią? Sam? I niemal bez zastanowienia poleca: – Pani Leoto! Proszę dać panu klucz do apartamentu junior suite 201. Po czym zwraca się do mnie: – Proszę się urządzić w pokoju, jest pan naszym gościem. Osobiście zajmę się urzędem imigracyjnym. Na koniec uzupełnia filuternie, ale już ściszym głosem: – Liczę, że tutejszy pasat nie zatrzyma pana na pół roku. Trochę zdezorientowany dziękuję za nieoczekiwaną pięciogwiazdkową gościnność. Pan Williams przerywa mi i zaprasza na śniadanie. Niektórzy goście ze zdziwieniem obserwują przeprowadzonego przez managera jakiegoś bosego „przybłędę”.

Z osłupieniem obserwuję stół z wazonami świeżych hibiskusów i orchidei. Dalej oko zatrzymuje się na świeżo wyciśniętych sokach z tropikalnych owoców, z grejpfruta, papai, mango czy marakui, karamboli albo granadilli. Obok leżą chrupiące



bułeczki, croissants i różnorodne pieczywo, są także dżemy i miód lokalnej produkcji. Nie brakuje też gorących potraw, aromatycznej kawy oraz herbaty. Całość dopełniają eleganckie naczynia, srebrne sztucce i szklanki, które nadają miejscu luksusowy charakter.

Zaczynam biesiadę od płynów, aby uzupełnić niebagatelne odwodnienie organizmu. Po kilkunastu podejściach do stołu mam wreszcie czas, aby z wygodnego krzesła nasycić wzrok otaczającą bujną roślinnością.

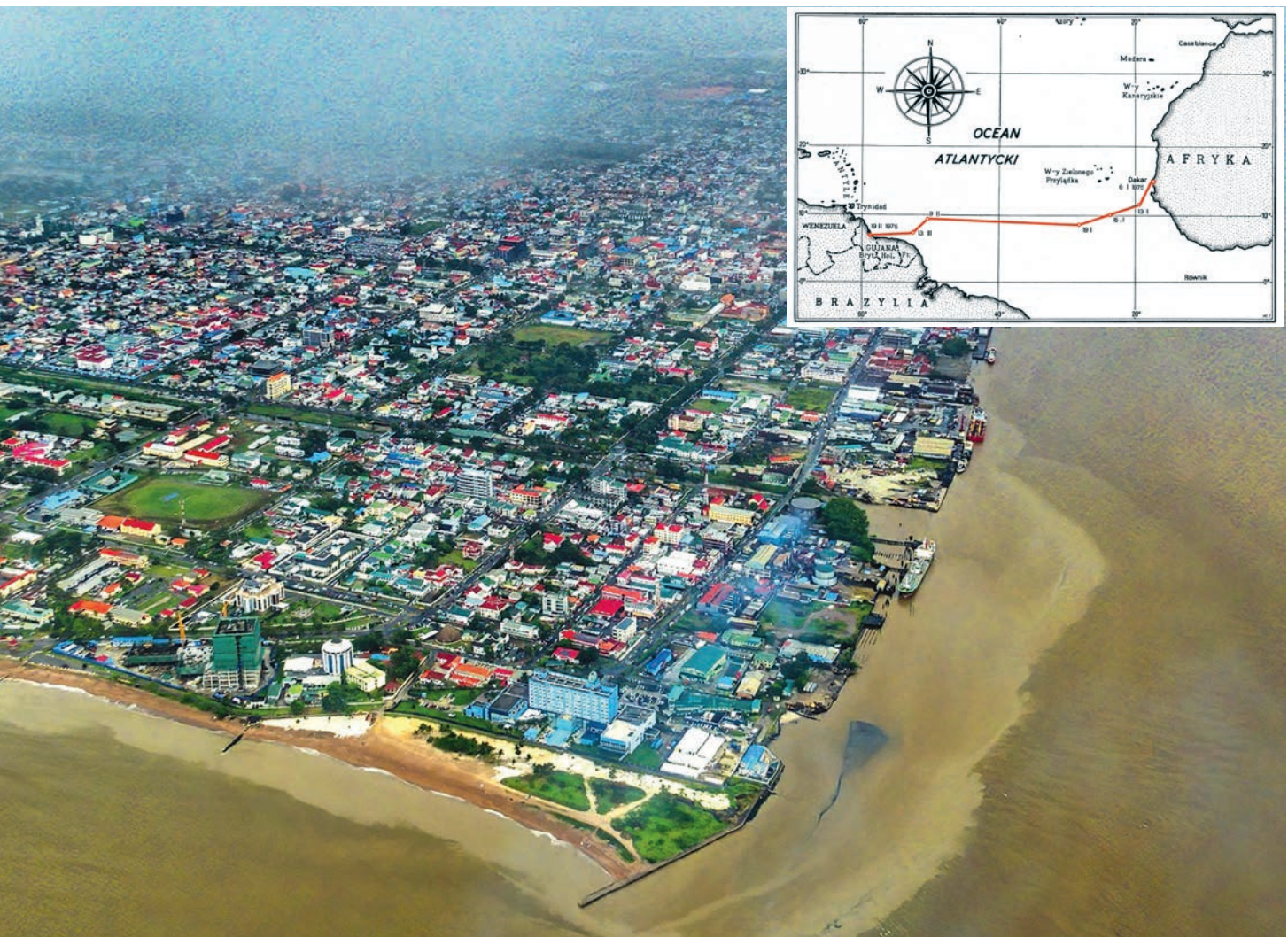
Rozglądam się z zainteresowaniem po apartamencie zaprojektowanym z dbałością o najdrobniejsze detale. Sypialnia to prawdziwa oaza spokoju, łazienka jest dziełem sztuki z podłogą wyłożoną marmurem, znajdują w niej również luksusowe kosmetyki,



Jacek Pałkiewicz

Podczas 44-dniowego samotnego rejsu





Jacek Pańkiewicz

scom.wikipedia.org

### Georgetown, stolica Gujany – cel rejsu Jacka Pańkiewicza przez Atlantyki, który osiągnął 19 lutego 1975 r., oraz mapa jego trasy

miękkie ręczniki i szlafroki. Pan Williams oznajmił, że do mojej dyspozycji są zarówno minibar z selekcją win i przekąsek, jak i spa, basen czy siłownia.

Zaledwie zdążyłem na dobre rozgościć się w apartamencie emanującym luksusem i komfortem, z panoramicznym widokiem na miasto, skąd oglądałem historyczną dzielnicę Stabroek, znaną z kolorowych budynków i tętniącego życiem rynku, gdzie można znaleźć lokalne wyroby, jedzenie i rzemiosło, kiedy z recepcji informują mnie, że przyjechało dwóch dziennikarzy.

Dopiero co spotkałem się z reporterami *Daily Chronicle* i *Graphic*, a już pojawia się dwóch funkcjonariuszy z Urzędu Imigracyjnego. Zapraszają do

swojego biura i proszą o zabranie niektórych przedmiotów. Przesłuchuje mnie młody gburowaty sierżant, który następnie siada przy maszynie do pisania, aby spisać moją podróż i moje życie. Znajduję się w krzyżowym ogniu pytań: – Kiedy wyjechałeś z Polski? Jaki jest cel twojej podróży? Kto ją sfinansował? Czy masz jakieś kontakty z kimś w Gujanie? Z kim rozmawiałeś tuż po przybyciu?

Następnie podoficer zatapia wzrok w kartach dziennika pokładowego napisanego po polsku, oczywiście, nic nie rozumiejąc. – Skąd przybywasz? Czy nie było z tobą nikogo? Jaki jest cel twojej wizyty w Gujanie? Proszę pokazać dokumenty, aparat fotograficzny. Co teraz zamierzasz robić? Odpowiadam, że chciałbym wrócić do

domu. – Dobrze, ale paszport zatrzymujemy do dnia twojego wyjazdu. Prawdę mówiąc, byłem przygotowany na najgorsze. Urzędnik wygląda na zaniepokojonego faktem, że nie mam wizy. Przeglądając paszport, w którym nie ma już centymetra kwadratowego wolnego miejsca na wklejkę wizową, zatrzymuje się na stronie, gdzie jest ślad mojego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Fakt ten upraszcza procedurę, bo skoro Amerykanie nie bali się wpuścić komunisty z Polski, to i oni nie będą stwarzać problemów.

Zdenerwowanie okazują celnicy, którzy uważają, że to oni powinni mnie przejąć jako pierwszy. Zdarzenie to nie jest pozbawione humoru i następnego dnia będzie opisywane w gazetach. – Chcemy listę →





Jacek Pałkiewicz

Jacek Pałkiewicz opuszcza port w Dakarze, 6 stycznia 1975 r.

→ wszystkiego, co przywoziłeś ze sobą z Afryki – mówi nieznośnym sprzeciwu tonem urzędnik. – Nie mam nic przeciwko temu, ale proszę mi dać odpowiednie formularze do wypełnienia – odpowiadam. – Musisz je pobrać u jakiegoś agenta morskiego – mówi szorstko, ale oferuje swoją pomoc i prowadzi mnie do nieodległego biura Johna Fernandes, potomka znakomitej rodziny hiszpańskiej, który pomaga mi wypełnić te kwestionariusze. Kiedy wracam do urzędu, natykam się już na innego urzędnika. Pokazuje mi wydruki A4 przeznaczone dla żeglugi statków handlowych, ale on po szybkim ich przejrzaniu patrzy na mnie ze zdumieniem: – Tonaż statku – 1,85 t! Ilość załogi – Jedna! Przepraszam, ale czy pan rozumie po angielsku? Odpowiadam, że nie ma tu żadnej pomyłki. Celnik przechodzi do innej kwestii: alkohol, papierosy, narkotyki?

O godz. 16 jestem wreszcie wolny i wracam na łódź, aby zrobić jej zdjęcia. – Dzień dobry panu!... A któż to taki, kto zwraca się do mnie po polsku? Mężczyzna przedstawia się: – Jestem Zbigniew Zakrzewski, mieszkam niedaleko, czekam na pana od 3 godzin.

W gabinecie dyrektora Pegasusa ma miejsce konferencja prasowa, po której mój rodak zaprasza mnie do siebie na kolację. Opowiada, że w 1956 r. opuścił Polskę i zamieszkał w Anglii, gdzie się ożenił. Następnie wyemigrował na Karaiby i jest managerem armatora floty kutrów rybackich. Pojutrze opuszcza Georgetown – przeprowadza się do Trynidadu.

Podjeżdżamy do rezydencji Zbigniewa. Za solidną bramą widać dwa psy z najgroźniejszych ras – silne i zwinne dogi argentyńskie o mocnej, umięśnionej budowie ciała.

– Nie martw się – mówi gospodarz, odgadując moje obawy. – One wprawdzie nie są aniołkami, ale kiedy wyczują gościa, grzecznie się wycofują. Gdy wychodzę z samochodu, „aniołki” obwąchują mnie długo i ostrożnie. Z nieufnością wstrzymuję oddech, pozostając nieruchomy jak posąg.

– No, już, śmiało – mówi mój rodak, ale nie wykonałem nawet kilku kroków, kiedy na mnie skaczą. Jeden gryzie w łydkę, drugi atakuje w pachwinę. Instynktownie zakrywam dłońią bolącą część, starając się bronić ruchami karate, którym

zajmowałem się kilka lat wcześniej. Bezskutecznie. Interwencja właściciela rozwścieczonych zwierzaków też nie od razu jest zbawienna. Boję się myśleć o konsekwencjach. Mam cichą nadzieję, że nie powiększę zastępów eunuchów w jakimś haremie.

Zabiegi pielęgniarzek czekoladowego koloru wokół atrybutów białego pacjenta budzą zainteresowanie i rozbawienie. Do dwóch pań dołączają jeszcze koleżanki z innego oddziału, które po kwadransie obwieszczają zakończenie uzdrawiającego zabiegu.

Ironia losu: uciekłem przed niebezpieczeństwami oceanu i ani razu nie otworzyłem podręcznej apteczki, a na końcu podróży zostałem pogryziony przez psy.

Wracamy do posiadłości Zbigniewa. To typowy dom kolonialny z dużą zadaszoną werandą, zapewniającą cień i miejsce do odpoczynku na świeżym powietrzu. Właśnie tam pani domu serwuje prawdziwą kolację, jakiej brakowało mi przez 44 dni. **n**

JACEK PAŁKIEWICZ  
reporter, eksplorator